

Wejście główne o zachodzie słońca.



Pod kopułą – Alvernia Studios

Niełatwo się tu dostać. Adres nie figuruje w nawigacjach samochodowych.

W okolicy próżno szukać drogowskiego, za to łatwo pomylić drogę i dojechać na parking pługosolarek. Nigdzie się nie reklamują. Nie zabiegają o popularność. A jednak są sławni.

Maciej Łukasz Gołębiowski

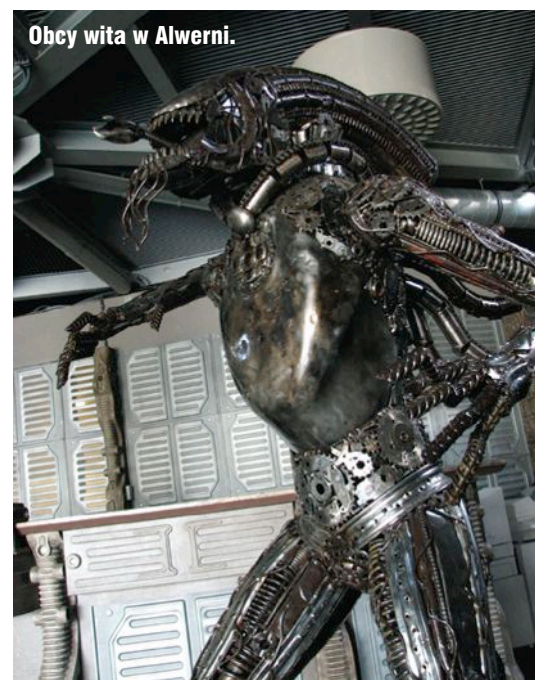
Zapewne wielu kierowców przejeżdżających autostradą A4 obok miejscowości Nieporaz zastanawia się, co mieszczą kosmicznie wyglądające kopuły, stojące niemal przy samej drodze. Gdyby nawet postanowili to sprawdzić, niewiele się dowiedzą. Alvernia nie lubi niezapowiedzianych gości. Cały teren otoczono wysokim ogrodzeniem. Przyjazd autem skończy się zapewne przy bramie. Stacjonująca w budce przypominającej motocyklowy kask ochrona odeśle przybysza tam, skąd przyjechał.

To miejsce, leżące w połowie drogi między Krakowem a Katowicami, mogłoby być jedną z największych atrakcji turystycznych Małopolski. Ale nie jest i pewnie nigdy nie będzie.

Stworzono je nie dla ciekawskich ludzi z aparatami, ale dla artystów. Betonowe kopuły, wykonane jakby na licencji NASA, kryją m.in. w pełni wyposażone studia filmowe i nagraniowe, restaurację, pomieszczenia biurowe, serwerownię, salę kinową i laboratorium. Zgromadzony sprzęt umożliwia dokonanie całego procesu produkcji filmu, począwszy od pierwszych zdjęć, aż po wykonanie dowolnej liczby kopii, które można stąd rozesłać do kin. Alvernia to miejsce, w którym czas płynie inaczej. Mierzony centralnym zegarem, obsługującym wszystkie urządzenia, sam reguluje się według atomowego wzorca we Frankfurcie. Gdyby któregoś dnia wyłączono prąd, cały kompleks może funkcjonować przez 48 godzin dzięki dwóm

agregatom o łącznej mocy 2,4 MW i 11000 litrów paliwa.

Każdego gościa uderza wszechogarniający spokój i cisza. Dźwiękochłonne wykładziny na podłogach, ściany wyłożone specjalnymi materiałami, ogniotrwałe i dźwiękoszczelne drzwi sprawiają, że pogłos jest tu zjawiskiem nieznanym. Nawet



Obcy wita w Alverni.

w ogromnych, niemal pustych kopułach, przygotowanych na studia filmowe, betonowe cylindry pod dachem sprawiają, że można się tam poczuć niczym w salonie u dziadka. Artyści przyjeżdżający do Alverni mogą liczyć na rzeczowość i profesjonalizm pracujących tu ludzi. Wielu z nich to specjaliści międzynarodowej sławy, z życiorysem wypełnionym projektami największych reżyserów i wytwórni. Po przekroczeniu progu recepcji nikt jednak nie pyta, kim się jest i po co się przyjechało. Hierarchia stanowisk zaciera się w mówieniu sobie od razu na „ty”. Nic dziwnego, że nie tylko filmowcy lubią tu pracować.



Szkło, beton, aluminium i...cisza.

W jednej z kopuł znajduje się studio nagraniowe mogące pomieścić 100-osobową orkiestrę. Ma zmienną akustykę, regulowaną specjalnym zestawem ekranów podwieszonych pod sufitem i nazywanych bez wielkiej przesady „gwiazdą śmierci”. To skojarzenie z „Gwiezdnymi wojnami” prowadzi do jeszcze jednej unikalnej cechy

Alvernia Studios z lotu ptaka.



Wejście do reżyserki otwierane skanerem linii papilarnych.



tego miejsca. Będąc spełnieniem marzenia swego twórcy, Stanisława Tyczyńskiego, Alvernia to nie tylko kopuły i sprzęt. To wnętrza zaprojektowane niczym scenografia filmu sci-fi. Wchodzących wita „Obcy” naturalnej wielkości. Ściany są wyłożone stalowymi blachami wytłaczanymi tak, by imitować wystrój statku kosmicznego. Między kopułami przechodzimy szklanymi, przezroczystymi tunelami, do których kosmiczne drzwi otwierają się dzięki systemowi identyfikacji linii papilarnych. Reżyserka w studiu to niemal kokpit statku Enterprise ze „Star Treka”. Filmowe akcenty są tu obecne nawet w toaletach. Nie zapomniano o żadnym detalu. Całość tworzy wrażenie odrealnionego świata; choć jedynym Obcym pozostaje metalowy potwór w recepcji.

Andrzej Wajda powiedział o Alverni: „Jestem pewny, że ktoś wyprodukuje tu kiedyś polskie „Gwiezdy wojny”, a Michał Lorenc dodał: „Zarówno studio nagraniowe, jak i cały kompleks Alvernia Studios są niesamowite. Jestem bardzo usatysfakcjonowany tym, że mogę tutaj pracować”.

Na początku marca do Alverni przyjechali: zespół Kroke, orkiestra Sinfonietta Cracovia, Krzysztof Herdzin, Anna Maria Jopek, perkusista Sławek Berny i reżyser dźwięku Tadeusz Mieczkowski. Obchodzono 20-lecie działalności Kroke. Z tej okazji grupa postanowiła spełnić jedno ze swoich marzeń – wydać płytę z orkiestrą. Twórczość Kroke to, jak mówią sami muzycy, ciągle poszukiwanie. Utwory ewoluują wraz z nimi. Dojrzewają, krzepną, a czasem zupełnie się zmieniają, by dostosować się do konkretnego czasu w historii grupy i każdego z jej członków.

W Kroke panuje demokracja. Trzyosobowy skład sprzyja podejmowaniu decyzji większością głosów. W tym przypadku gło-



Dźwiękoszczelne i ogniotrwałe drzwi między kopułami.

Studio nagraniowe o powierzchni 430 m². W lewym górnym rogu widoczna „gwiazda śmierci”.



sowanie nie było nawet potrzebne. Wszyscy byli przekonani, że ich muzyka w wykonaniu dużego składu i w ciekawej aranżacji powinna otworzyć sobie nowe horyzonty i przyciągnąć nową publiczność.

Zaproszenie Sinfonietty Cracovii było uśmiechem skierowanym do miłośników klasyki. Oddając aranżację w ręce Herdzina, zrobili natomiast krok w stronę miłośników jazzu, ale też muzyki rodem z popularnych programów telewizyjnych. Herdzin to twórca pracowity, a do tego piekielnie zdolny. Trudno pojąć, jak go dzi wydawanie własnych płyt, koncerty z wieloma gwiazdami w Polsce i za granicą,



Krzysztof Herdzin przy Steinwayu.



Krzysztof Herdzin i Tadeusz Mieczkowski słuchają nagranego materiału przy konsoli Neve 88R.

a do tego masę projektów aranżacyjnych i producenckich. Choć nie dosypia i bywa zmęczony, z niczego nie rezygnuje. Mówi, że stara się żyć pełnią życia w każdym jego aspekcie, by na starość nie żałować.

Aranżacje dla Kroke napisał częściowo już trzy lata temu. Wtedy w zespole pojawił się pomysł na płytę. Herdzin był drugim wyborem, bo wcześniej zgłosił się inny muzyk, dyrygent i aranżer. Jego wersje były bardziej symfoniczne i potężniejsze. Co ważne, przyszedł z obietnicą unijnych funduszy, które miały wesprzeć projekt. Wszystko nagrano, jednak materiał nie ujrzał światła dziennego. Zatrudniona wówczas orkiestra nie podołała wymogom partytury. Sprawa zrobiła się stresująca, ale swojej decyzji muzycy dziś nie żałują. Słuchając wersji przygotowanej przez Herdzina i Sinfonietkę Cracovię, trudno się dziwić.

Mogłoby się wydawać, że wykonawcy przynoszą do studia stos partytur, instrumenty, a przede wszystkim jasną kon-

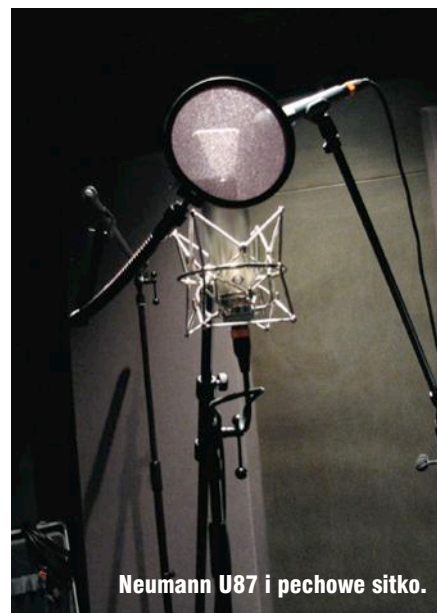
cepcję, poukładaną i dopracowaną. Krakowscy muzycy mają jednak podejście odwrotne. Partytury, owszem istnieją, ale Herdzin przygotował je wyłącznie z myślą o orkiestrze. Wszystko, co się działo obok niej, było w znacznej części improwizowane. Perkusja, fortepian, wokale Anny Marii Jopek i Tomka Kukurby. Pomysły rodziły się w reżyserce, przy obiedzie albo w palarni. Czasem także już w studiu nagraniowym, gdzie soliści grali od razu po kilka wersji tego, co im się właśnie urodziło w głowach. Później wybierano tę najwłaściwszą. Zdarzały się sytuacje niecodzienne. Bywało, że muzycy zamieniali się przy instrumentach, choć świat nigdy się nie dowie, kiedy i po co. Ważne, że oni wiedzą. Spontaniczność, dobry humor i luz stanowiły stały element dwóch dni nagrań, które mogłem obserwować.

Czasami pomagała nowoczesna technika, dająca możliwość wzięcia dwóch czy czterech fantastycznych taktów z jednej wersji i doklejenia ich do drugiej, w której uznano je za gorsze. Panowała burza mózgów. W powietrzu latały pomysły, które potem komentowano, dopracowywano i od razu ktoś szedł do studia, by je nagrać. O dziwo, nikt się z nikim nie pokłócił. Bywały spięcia i różnice zdań, ale nie psuły atmosfery wzajemnego szacunku. Sukcesy wieńczyły brawa i wspólna herbata. Porażki intensywnie dyskutowano, by nie trwały długo. Każdy wiedział, jakie ma zadanie i to profesjonalne podejście było czymś stałym i oczywistym.

Mistrzem ceremonii został realizator, Tadeusz Mieczkowski. Pod jego sprawnymi palcami i dzięki uszom czulszym niż niejeden mikrofon można było mieć pewność, że zaakceptowana wersja będzie istotnie najlepszą z nagranych. Przynajmniej pod względem technicznym. Do spraw artystycznych się nie mieszał. Miał

ko wiernych fanów Kroke, ale wszystkich, którzy klimaty etniczno-klezmersko-folkowe lubią albo chcą polubić. Prawdopodobnie nie będzie to przebój roku w Empiku, bo zbyt wiele tu inteligentnej przekory, zabawy konwencjami, niedopowiedzeń, żartów i mrugnięć okiem do słuchacza. Ale też Kroke nigdy nie myśleli o wielkiej sławie. Sami mówią, że zakładając zespół jeszcze w studenckich czasach, chcieli po prostu zarobić na wakacje, grając na krakowskich ulicach to, czego lubili słuchać. Wszystko, co stało się później, to w sporej części przypadek. Dla nich samych tegoroczny jubileusz jest zaskoczeniem, choć trudno sobie wyobrazić, by ich zabrakło. Stanowią kwintesencję dobrego smaku w muzyce; może nie najbardziej popularnej, ale na pewno pięknej, radosnej i przejmującej. Wiedzą to nie tylko ich słuchacze, ale i koledzy po fachu.

Anna Maria Jopek trzy lata temu byłaby zbyt zajęta, by nagrać dla Kroke wokalizy. Teraz zgodziła się bez wahania. Przyjechała



Neumann U87 i pechowe sitko.

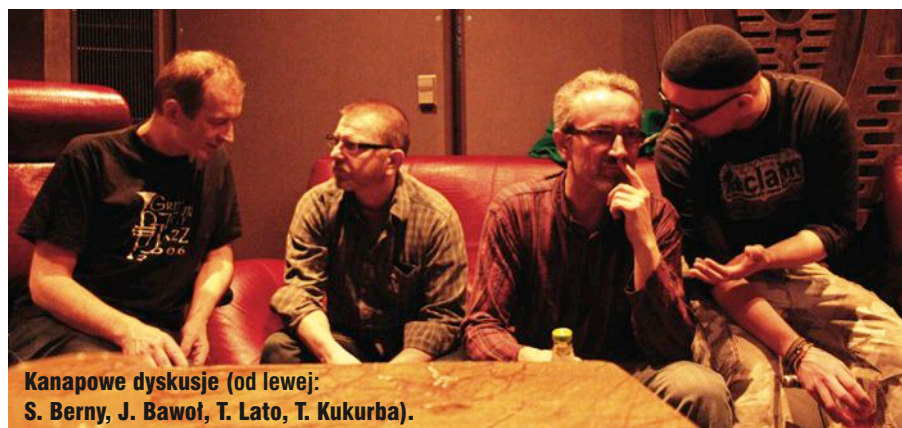
kontynuować nagrania. Jeśli natomiast ktoś ze słuchających albumu w jednym z utworów wyłapie tajemnicze mlaskanie, będzie to efekt czekoladek zjedzonych przez wokalistkę z okazji Dnia Kobiet. Woda miała sprawę załatwić, ale czy załatwiła, okaże się na płycie.



Drużyna w komplecie.



24-ścieżkowy Studer A827 stoi tu wyłącznie jako dekoracja.



Kanapowe dyskusje (od lewej: S. Berny, J. Bawoń, T. Lato, T. Kukurba).

swoje zdanie, ale ostateczną decyzję pozostawiał muzykom Kroke. Podobnie było z Herdzinem. On także, choć wszystko zaaranżował, stał zawsze pół kroku za artystami. Dawał im pole manewru i jedynie moderował zbyt ekstremalne pomysły.

Jako efekt wspólnych działań jesienią trafi do sklepów płyta, która ucieszy nie tyl-

ko Alwerni z własnym mikrofonem Shure SM58 i głową pełną pomysłów. Rejestrowała po kilka wersji, dogrywając kolejne nawet, gdy wszyscy jej mówili, że to, co już mają, wystarczy i jest cudowne. Dzielnie walczyła z sitkiem mikrofonu, które przez kwadrans nie dawało się ustawić i dopiero interwencja czterech kolegów pozwoliła

W Alwerni powstawały dotąd reklamy, efekty specjalne i dubbingi. Bywał tu Leszek Możdżer, a Krzysztof Penderecki jesienią ubiegłego roku nagrał swoją płytę z gitarzystą Radiohead, Jonnym Greenwoodem.

Tajemnicze miejsce może też okazjonalnie otwierać swoje bramy dla ludzi spoza artystycznego świata. Tak się stało całkiem niedawno, 31 marca, za sprawą „Pasji wg św. Łukasza” Pendereckiego, wyreżyserowanej przez Grzegorza Jarzynę. W największej z kopuł obejrzało ją pięćset osób.

Alwernia to dowód na to, że marzenia się spełniają. Dziś cieszyć się z tego mogą nie tylko sami marzyciele, ale wszyscy, którym było dane tam pracować albo po prostu słuchać i patrzeć. Takie magiczne miejsca i wyjątkowe momenty tworzą atmosferę inspiracji. Ona zaś służy sztuce. ■